

Marek Marczewski, *Historia wychowania: szkice. (wykład, ćwiczenia)*, Wydawnictwo. Wyższej Szkoły Społeczno-Ekonomicznej w Gdańsku, Gdańsk 2021, ss. 410.

Do rąk czytelnika trafia bardzo ciekawa praca zatytułowana *Historia wychowania: szkice (wykład, ćwiczenia)*. Jej autor, dr hab. Marek Marczewski, prof. Wyższej Szkoły Społeczno-Ekonomicznej w Gdańsku, dał się poznać między innymi jako autor rozprawy *Pedagogika rodziny (wykład, ćwiczenia)* (Gdańsk 2019). Najnowsza książka jest w pewnym sensie kontynuacją jego badań.

Szkice z historii wychowania pomyślane są jako prezentacja historii pedagogiki ze szczególnym akcentem położonym na pedagogię. Autor skupia się w tym studium nie tyle na procesie nauczania, rozumianego jako uczenie się, wyposażenie ucznia w wiedzę, na zdobywaniu umiejętności oraz kompetencji społecznych, ale na kształtowaniu charakterystycznych dla konkretnej osoby właściwości zachowania się na każdym odcinku życia, które ma kształtować właśnie pedagogia. Zrozumiałe, że wiele miejsca poświęca także określeniu terminu wychowanie. Rozumie je jako długotrwały ciąg zmian zachodzących w procesie rozwoju człowieka (por. s. 24 - 25).

Część A recenzowanej książki zatytułowana *Historia wychowania: szkice, wykład* zawiera dwanaście sylwetek pedagogów począwszy od Arystotelesa aż do ks. Franciszka Blachnickiego, ulubionego autora Marka Marczewskiego. Pośród omawianych w tej części pedagogów poczesne miejsce zajmuje Janusz Korczak.

Część B ukazuje te same sylwetki, przedstawione pod kątem ćwiczeń. Do przedstawienia tej części książki prof. Marczewski dobrał autorów wywodzących się z różnych środowisk. Janusz Korczak doczekał się tu opracowania Izabeli E. Dąbrowskiej, która swój tekst opatrzyła tytułem „Idea społeczeństwa dziecięcego w ujęciu Janusza Korczaka na przykładzie systemu wychowawczego Domu Sierot”.

Zarówno część A jako wykład, jak też jej kontynuacja w dziale B jako ćwiczenia, to bardzo pożyteczny materiał zarówno dla wykładowców, jak też dla studentów pedagogiki. Nie miejsce tu, by omawiać znaczenie poszczególnych biogramów obu części książki. Dlatego może warto zatrzymać się tylko na jednym pedagogu, na Januszu Korczaku. Oba teksty na temat tego polskiego pedagoga inspirują do recenzyjnego przedstawienia tego wybitnego wychowawcy. Z pewnością może to być dobra zachęta dla czytelnika do zapoznania się ze studium Marka Marczewskiego.

Nie trzeba być pedagogiem, wychowawcą, żeby nie odczuwać jakiegoś własnego niedostatku w zetknięciu z Januszem Korczakiem (1878-1942). Jest to zrozumiałe, gdyż zawsze pojawia się pytanie o naszą decyzję w sytuacji, w jakiej on się znalazł w dniu swojej śmierci owego 7 sierpnia 1942 roku.

Dziecko jest tematem bardziej uniwersalnym niż jakikolwiek inny, gdyż na nim buduje się – jeśli tak można powiedzieć – historia. O płyciźnie współczesnego nam myślenia wielu ludzi świadczy to, że przedkładają własną karierę nad dziecko. Przenosząc te spostrzeżenia w świat historii, trudno byłoby przeoczyć obecny czas, kiedy ciągle wracamy myślą do chrztu Polski. Wielorakie interpretacje tego epokowego wydarzenia rzadko uwzględniają istotę przemiany, jaka wtedy dokonana się na polskiej ziemi. A było nią

i jest zaludnienie jej nowymi generacjami ludzkimi, przez chrzest włączonymi w świat wartości transcendentnych i w to, co nazywamy środowiskiem europejskim. Równolegle z obchodami tej ważnej daty przeżywalimy tak niedawno Rok Miłosierdzia. Jakże nie łączyć obu tych okoliczności z wymianą pokoleń, a więc z dzieckiem w pierwszym rzędzie?

Wskazane tu epokowe wydarzenia mają stygmat wiary chrześcijańskiej. Janusz Korczak należał do innego świata w wymiarze religijnym, ale wartości, jakie niesie ze sobą chrześcijaństwo, były mu bliskie, choć może tak przezeń nie nazywane. A miłosierdzie? Gdzież więcej go można znaleźć niż w jego całym życiu i jego końcówce, mającej wymowę ewangeliczną w najwyższym wymiarze i najcenniejszej jakości?

Tak więc spleta się w tym rozważaniu o Januszu Korczaku – jakże skromnym i niepełnym – to, co z natury ludzkie, z tym, co namaszczone autorytetem Objawienia. Historia z jej okrutnym bagażem, który unieść musiał Janusz Korczak na swych barkach aż do komory gazowej, w dodatku dźwigając ciężar strachu i nadziei tych małych istot ludzkich, na których ufność zasłużył sobie, obdzielając je swoją miłością, to lekcja, która powinna dotrzeć do każdego, kto ma pieczę nad dzieckiem. Czy dociera?

Ilekróć jest mowa o Januszu Korczaku, przed oczyma staje mi kadr z filmu o nim, pokazujący makabryczny pochód dzieci, na którego czele idzie on - wychowawca? nauczyciel? lekarz domu dziecka? filantrop? Trudno dobrać odpowiednie słowo, które wyrażałoby w pełni niezwykłość tego człowieka. Polega ona nie tyle w jego funkcji, roli, a nawet posłannictwie, choć może to ostatnie słowo byłoby tu najwłaściwsze. Trudność w zdefiniowaniu tej postaci polega na tym, że długo trzeba szukać analogicznego wzorca. Czy w ogóle można go znaleźć? W bogatej historii świata i w jeszcze bogatszych dziejach duszy ludzkiej zapewne tak. Byłoby to jednak zadanie czysto akademickie, żeby nie powiedzieć - teoretyczne.

Ale Janusz Korczak – gdy mowa o nim tu i teraz, a to „teraz” to cały ciąg naszej pamięci o czasie nieludzkim, zapisanym przerażającym ciągiem zbrodni i deptania człowieczeństwa, o boskim porządku nawet nie wspominając – taki Korczak możliwy jest tylko w kategorii żywego symbolu. Słowo symbol sugeruje utożsamienie tej postaci z najwyższą ofiarą. Składa ją każdy, kto oddaje swe życie za przyjaciół. To ewangeliczna definicja. Ktoś rozumujący w konwencji teoretycznej mógłby powiedzieć, a choćby tylko pomyśleć, że nie tędy droga do definiowania ofiary Korczaka. Wszak był Żydem i dlatego znalazł się w sierocińcu na ul. Krochmalnej w Warszawie. Był także polskim oficerem, znanym lekarzem. Był kimś, kto mógł z holokaustu wyjść bez szwanku. Miał zapewnioną ucieczkę i kryjówkę. Czy ktokolwiek żyjący w tamtych czasach, więzień warszawskiego czy jakiegokolwiek innego getta, nie skorzystałby z takiej szansy? Czy można mieć komuś za złe, że ratuje swe życie?

Janusz Korczak jednak nie skorzystał. Dlaczego? Bo nie był opiekunem, pedagogiem, mentorem za pieniądze. Od godziny do godziny. On kochał te osierocone dzieci, tak wcześnie doświadczone przez los, żyjące w oparach wiecznego strachu, nie rozumiejące zła ani tych, którzy je generowali. Podopieczni Korczaka nie byli już dziećmi w ścisłym tego słowa znaczeniu. Przedwcześnie dorośli, bo znaleźli się w matni, z której nie

było wyjścia. Korczak to wszystko wziął na siebie. Stał się „odgromnikiem”. Wiedział, że będzie musiał przejść razem z tymi maluchami przez straszne minuty w bunkrze gazowym. Chciał im towarzyszyć do samego końca, żeby aż do ostatniej sekundy przed nieuniknioną męką śmierci być dla nich oparciem, źródłem siły. Żeby swoją obecnością dodać im odwagi. Tyle tylko mógł ocalić z ich dzieciństwa, zniweczonego przez zwierzęcą nienawiść człowieka.

Jeśli ktoś chciałby poznać duszę Korczaka, jego filozofię życia na krótkim odcinku między ul. Krochmalną a komorą gazową w niemieckim obozie koncentracyjnym w Treblince, niech pomyśli – choć tak naprawdę nie jest to możliwe – co czuł, co myślał, na co się zdecydował ów „chrześcijanin bez chrztu”, naśladowca Chrystusa, nie będący Jego wyznawcą, święty z prawdziwego zdarzenia, choć nigdy nie kanonizowany. Człowiek najwyższej próby. Zabity jako jeden z podludzi.

Wszystkie inne, najmańdrzejsze nawet dywagacje na temat Janusza Korczaka, jego pedagogii, nowatorstwa w wychowaniu mogą wprawdzie być poprawne metodologicznie i prawdziwe, ale będą się zupełnie mijać z tym, co jedynie ważne, choć słabo uchwytnie. Bo miłość niewypowiedziana słowem, ale promieniująca każdym gestem, lekceważąca własne dobro po to, by dawać je innym w największym wymiarze, bo za cenę swego życia, nie da się opisać jak podręcznikowy wykład najwspanialszej nawet teorii. Jedyne, co można uczynić, to nisko pochylić głowę i w ciszy medytować nad ogromem świadectwa, jakie złożył ten człowiek. Ma ono wymiar ponadczasowy.

Przypominanie postaci Janusza Korczaka jest konieczne, tak jak przypomina się, nie bez powodu, chrześcijańskich świętych. W obu przypadkach chodzi o wzorzec. Również w obu przypadkach heroizm nieodłączny od niego jego podobny. Jeśli nie identyczny. Nadto dziecku stale grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie komora gazowa, ale nie mniej zabójcze wypaczenia w przygotowaniu do życia, wychowaniu, przekazie wartości. Nie mówimy tu o odmowie prawa do życia, z jaką dziecko dziś się spotyka, bo brutalne zło, tkwiące zarówno w praktykach tu stosowanych, jak i w teoriach mających te praktyki uzasadnić, jest dziś notoryczne.

Janusz Korczak był ojcem dzieci najciężej doświadczonych przez los. Także dzisiaj takich dzieci nie brakuje. Zatem pójdzie jego śladem to najlepsze rozwiązanie wielu bolesnych spraw, których nie dostrzegamy lub nie chcemy dostrzec.

Na koniec serdeczne słowa uznania za przybliżenie czytelnikowi niezwyklej postaci pedagogów należą się dr. hab. Markowi Marczewskiemu prof. Wyższej Szkoły Społeczno-Ekonomicznej w Gdańsku, który z erudycją i naukową akrybią fachowo przygotował rozprawę do druku.

Ks. Edward Walewander